

obnażonemi rękami uderzających z wielkim hukiem w kowadła. W blasku ognia wyglądali jak dyabły z oczami, utkwionymi w rozpalone żelazo. Powolne ich myśli wznosiły się i upadały wraz z młotami. Szymon podszedł cicho do swego przyjaciela i pociągnął go za ramię. Ten się odwrócił, robota ustała nagle, wszyscy mężczyźni przysłuchiwali się uważnie.

W ciszy tej rozległ się cienki głos chłopca.

— Filipie, syn Michaud'y powiedział mi właśnie, że nie zupełnie jesteś moim ojcem.

— Dlaczego? — spytał wyrobnik.

— Dlatego, że nie jesteś mężem mojej matki — naiwnie odpowiedziało dziecko.

Nikt się nie roześmiał. Filip ukrył głowę w dłonie dużych swych rąk, spartych o trzonek młota, stojącego na kowadle.

Myślał... Czterej towarzysze spoglądali na niego, a Szymon malefiki i wąty spoglądał wpośród tych olbrzymów i niespokojnie czekał.

Nakoniec jeden z kowali wypowiedział myśl wszystkich, mówiąc do Filipa.

— Blanchetta pomimo wszystkiego jest dobrą i złą dziewczyną, pomimo nieszczęścia swego jest porządną i uczciwą i byłaby stosowną żoną dla niego.

— To prawda — odrzekli inni.

Robotnik mówił dalej:

— Czy winna jest dziewczyna, że ją oszukał? Obiecał jej zenić się. Znam taką niejedną,

która dziś jest poważana, choć sprzeniewierzyła się też cnotcie.

— To prawda! — odpowiedzieli chórem inni.

Robotnik mówił dalej:

— Męczyła się ona, wychowując sama swego chłopca i tylko Bóg wie, ile wyplakała łez od czasu, jak nigdzie, prócz do kościoła nie chodzi.

— I to prawda — rzekli drudzy.

Potem słychać było tylko miech, rozdmuchujący ogień.

Filip nachylił się do Szymona:

— Idź, powiedz twej matce, że dziś wieczorem pomówię z nią.

Wyprowadził chłopca; potem znów przystąpił do roboty, a równocześnie pięć młotów uderzało w kowadła. Tak uderzali do wieczora, silnie, potężnie, radośnie. Byli zadowoleni. A jak w dniu świątecznym dzwon katedry przewyższa dźwiękiem dzwony mniejsze, tak młot Filipa z ogłuszającym hukiem bił, górując nad innymi.

Siał z błyszczącymi oczyma, kując namiętnie, otoczony iskrami.

Niebo było usłane gwiazdami, gdy Filip zapukał do drzwi Blanchetty.

Miał na sobie bluzę niedzielą, czystą koszulę, a brodę pięknie rozczesaną. Młoda kobieta ukazała się w progu i rzekła trwożliwie:

— Nie dobrze, że pan Filip przychodzi tak późno wieczorem.

Chciał coś odpowiedzieć, zająknął się i zmieszany stanął.

— Wszak pojmujecie — ciągnęła dalej — że tylko tego trzeba, by znów o mnie mówić zaczęli.

— Cóż to szkodzi, jeżeli chcecie zostać moją żoną! — dopowiedział nagle.

Nie odpowiedziała nic, ale zdawało mu się, że słyszy stuk ciała, upadającego na podłogę. Wyszedł szybko, a Szymon, leżący już w łóżeczku, słyszał szmer pocałunków i słów kilka, wyzeczonych półgłosem przez matkę, potem czuł się podniesionym przez swego przyjaciela; trzymał on go w swych herkulesowych ramionach i rzekł:

— Powiedz im, twym kolegom, że Filip Remy, kowal, jest twym ojcem i że wytarga każdego za uszy, żeby ci przykrość zrobił.

Nazajutrz, gdy szkoła była napelniona, a nauka miała się natychmiast rozpocząć, Szymon wstał i drżącymi uszami, ale czystym głosem powiedział:

— Moim ojcem jest Filip Remy, kowal i przyrzekł mi, że wytarga za uszy każdego, kto mi sprawi przykrość.

Tym razem nikt się nie roześmiał, znano bowiem Filipa Remy, kowala — a był to ojciec, mogący być dumą każdego...

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w translu.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

32)

— Bo mi każą pilnować was wszystkich, a czy ja was tu wszystkich znam w tej ciżbie.

— Ale my was już wszyscy poznali.

Marya szybko twarz z łez ocierała, skończywszy swoje wyznania przed siostrą i braćmi.

Piotr z Julianem właśnie wstali i zdaleka przyglądali się nowemu strażnikowi, którego tak wyjątkowo chętnie witano.

Dźwignęła się Iza, stanęła tuż pod oknem, przez które właśnie księżyc wcisnął pęk świetlistych promieni do mrocznego wnętrza baraku.

Blask twarz jej oświetlił i postać całą, dostojnie wyniosłą, osrebrzył, a nad białym czołem złoty włos zapalił aureolą.

Tak ujrzał ją naraz Michał i przystanął. Krok naprzód postąpił, cofnął się gwałtownie i jął się w nią wpatrywać, jak w obraz cudowny.

— Tożes to ty jest, moja święta! — zawołał.

Ukląkł jak przed ołtarzem, ręce przed siebie wyciągnął, za kolana ją ujął, a głowę chylił powoli z wielkim nabożeństwem...

Potem ustami przywarł w ekstazie najwyższej i długo nogi jej całował.

Z całego baraku ludzie kupili się dokoła w milczeniu lub z szemranem cichem i wypatrywali oczy w zdumieniu.

Iza poznała tego człowieka; po głosie go przedewszystkiem pamiętała.

On pierwszy w życiu nazwał ją świętą i po nogach ją bosych całował.

To ten sam żołnierz.

Tam... tam... w ową straszną noc pod zimnymi gwiazdami, kiedy naprzeciw kilkunastu łuf karabinowych... na śmierć skazana... stała nago, płaszczem złotych włosów wstyd swój okrywając przed wzrokiem żołdactwa...

To ten sam...

Ręce ku niemu wyciągnęła i starała się dźwignąć go z kłeczek.

Michał zwrócił się ku ludziom i opowiadał jał o niej całą legendę.

Już tak ciasnem kołem otoczyli ludzie i ją skromnie spuszczającą oczy, i jego z błyskami we wzroku prawiącego dziwy, — że wszystkim oddychać było trudno.

Wtedy stary, schorzały ksiądz wyszedł z kąta, prześmiał się precyzyjnie z trudem, i stanawszy przed Izą, rzekł:

— Przed godziną sen miałem... proroczy sen o niej... Poznaję ją... Nie waszej ona wiary, ale dusze wasze ona zbawi. Błogosławione niech będą twoje kroki... gdziekolwiek staniesz na

ziemi krwią zlanej, niechaj kwiat miłości zakwita...

A wtedy tłum zaczął się tak do niej cisnąć z wielkim szlochaniem, że Michał z coraz większą trudnością musiał jej bronić.

Cały barak przewinał się mimo niej pod oknem z głośnie bżaniem:

— Pomóż!

— Pociesz!

— Uwolnij!

Ona zaś wszystkim po kolei ręce swoje białe kładła na głowę i szeptała kojąco:

— Cierpliwości!

— Wytrwania!

Każde odchodziło, dziwnie uspokojone i wracało na swoje postanie, nie czując męki bezradności.

Michał przysiadł wreszcie u jej nóg, gdy siadła i szeptał głosem wzruszonym:

— Zaraz nazajutrz po owej nocy, przenieśli mnie tutaj... I odtąd ciągle o tobie myślę, bo spokoju nie mam. Noc w noc budzi mnie jakiś głos i opowiada o tobie... jak o świętej, która już całe wieki męczy się na ziemi... A w ubiegłą noc, blisko świtu, znowu mnie ten głos obudził i wołał: „Uwolnij swoją świętą; duszę własną zbawisz... i matce swojej ulżysz”. Nie rozumiałem. Myślałem... może jechać tam z powrotem... próbować ciebie odszukać... Nic nie mogłem zrozumieć, bo o matce mowa, a ja nigdy matki nie znałem.

A wtem koło progu zrobiło się głośno. Żołnierz jakiś wszedł i wykrzykiwał:

— Gdzież to jest ta waryatka, co się autem rozbija po świecie, jak sam komisarz?

Pobiegł w tę stronę Michał i wdał się z nim w rozmowę.

Okazało się, że nieobecny od kilku dni w obozie komendant powrócił wśród nocy, a usłyszawszy w raporcie wiadomość o niezwykłych przybyszach, kazał sobie przyprowadzić zaraz nowych jeńców.

— Słuchaj, Aleksandrze... ja mam interes do komendanta... to ja ich zaprowadzę do niego... a ty mnie tymczasem w moim baraku zastąpisz.

I poczęstował go machorką, by uzyskać zgodę.

Wizyta u komendanta nie trwała długo. Niczego się od nich nie dowiedział, mimo, że mocno łupał nogą po każdym pytaniu.

Przypatrzył się tylko ciekawiej Izie, a na wargach zaigrał mu uśmiešek zadowolenia, że za jej przyczyną pozbył się ryżego, którego nie cierpiał, jak wszyscy w administracji, mimo że ten zbił pracował u niego w obozie dopiero od niedawna.

Kazano więźniów odprowadzić napowrót do baraku. Wyszli. Michała nie było. Nikt inny nie miał czasu, kazano im więc poczekać.

Przybiegł wreszcie Michał zdyszany.

Spóźniłem się...

Wyszli z nim razem i przepadli w labiryncie baraków.

Obóz przytykał tuż do przepastnych lasów ponad jeziorom.

Z pomocą specjalnych nożyc Michał zrobił wylot w płocie z gęstwy drutów kolczastych.

Na ziemi w tem miejscu leżały cztery płaszcze i cztery kije...

— Tylko tyle zdążyłem w pośpiechu... Psy głodne włóczą się teraz... bezpieczniej z kijem w ręce w takich czarnych lasach...

Mężczyźni wzięli laski wysokie, naksztat pasterskich zakrecone; kobiety w dłonie ujęły drągi proste.

Okrywszy się płaszczami, ruszyli w drogę. Wskazywał ją Michał, pośpieszając przodem na kilka kroków.

— Przez noc nikt się nie spostrzeże, że was w obozie zabrakło. Aleksander posiedzi w moim baraku. Czekać będzie, myśląc, że my u komendanta... Ale rano już się alarm zrobi... Szukać nas zaczną... Tylko że do rana już my w puszczy leśnej przepadniemy. Bieda z tem jedynie, że w was sił pewnie za mało na tę ucieczkę... A nie było co wziąć dla was do jedzenia... Dobrze i to, że choć płaszcze, bo chłód... I miesiąc się przyda... Bez tej lampy tobyśmy tu w lesie ule zrobili kroku po nocy...

Po pewnym czasie Michał coraz bardziej kroku zwalniał i stanął się. Zauważono to i pytano, czy mu co dolega.

— Jakoś nie dobrze...

Ale starał się iść dalej.

Wkrótce wielkie chwyciły go boleści. Został na miejscu, a im drogę wskazując, kazał śpieszyć.

— Dogonię was.

Ale, gdy go się nie doczekali, wrócili ku niemu.

— Cholera mnie z nóg zwała... Nie dziwota, ludzie naokół padają jak muchy. Przecież coś my dobrego jemy?... Wszystko takie na chorobę...

Męczył się coraz gorzej. Było już wyraźne, że w istocie zapadł na cholere.

Chciano z nim pozostać, lecz z trudem mówić mogąc, błagał Ize, by coby prędzej uciekali, nie troszcząc się o niego.

— Wszak mi nic pomóc nie możecie... Jeśli teraz zginę w tych boleściach, to z duszą zbawioną... Prawda, moja święta?... A jeśli mi przeznaczone przeżyć, to wszak pójdę za wami, odnajdę... Przecież ten głos, co mnie po nocach budził, drogę mi do ciebie pokaże... ty zbawicielko moja... Bóg ci zapłać za wszystko, święta męczennico.

Więcej mówić nie mógł. Musieli go zostawić.

Szli coraz pośpieszniej, byle dalej, chociaż noc długa. Jakieś siły nadludzkie niosły ich przez puszcę.

(Ciąg dalszy nastąpi).